




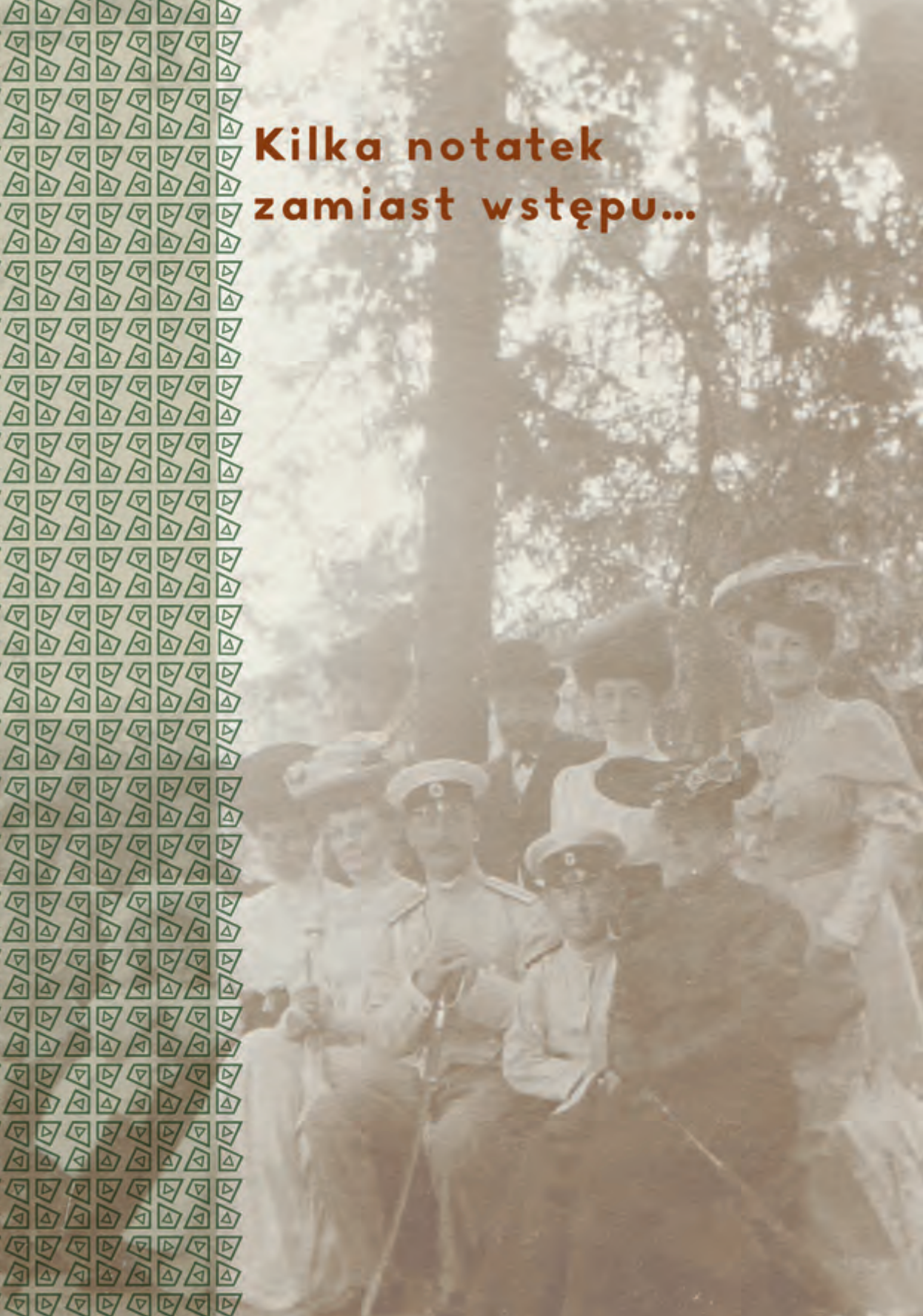
KIRA
GAŁCZYŃSKA
SREBRNA
NATALIA



OPOWIEŚĆ O NATALII GAŁCZYŃSKIEJ



**Kilka notatek
zamiast wstępu...**



Kalisz. Centralny punkt miasta: skwer przy teatrze. Przed teatrem (to tradycyjne dla wielkich imprez plenerowych miejsce) – ogromna scena, zwrócona w kierunku alei Józefiny, dziś bez większego sensu nazwanej, jak tysiące innych reprezentacyjnych arterii w setkach polskich miast, aleją Wolności. Na scenie próba muzyczna. Wszak trwają DNI MIASTA. Stare drzewa wielkiego parku przylegającego do rzeki i do teatru tłumią ostre rockowe dźwięki. A na środku rzeki – piękna fontanna, strzelająca w niebo milionami kropel wody... Brakuje tylko łodzi do organizowanych od bardzo dawna regat na rzece. Ale każdy przybywający do tego pięknego miasta pamięta o Prośnie, regatach, o eleganckich załogach łodzi. Nie tylko kręta rzeka, ale i mostki na niej i na niezliczonych kanałach, małe pawilony na wyspach zgromadziły – podobnie jak stare fotografie, pocztówki, blaknące malowidła – pamięć o tej części historii Kalisza sprzed lat, o paniach, panach, panienkach i młodzieńcach, którzy przechadzali się aleją Józefiny, grali w serso, biegali z głowami drewnianych koników, a pęd rozwiewał grzywy tym konikom. Również ta nazwa reprezentacyjnej pięknej ulicy musiała budzić zachwyt małej dziewczynki, o której będę opowiadać, która jest bohaterką tej książki, trafiającej właśnie do Twoich rąk, Szanowny Czytelniku.

O alei Józefiny Natalia będzie pamiętać przez całe swoje życie. Obudziła ona w dziecku potrzebę marzenia, a potem przywiązanie do niebanalnych sytuacji. Alei Józef-

finy nie miało żadne z polskich miast... Wypytywała brata i mamę o fakty z życia cesarzowej, o samego Napoleona, o jego wielką wyprawę na Moskwę, o której już niedługo będzie czytać w swojej ukochanej powieści genialnego Lwa Tołstoja.

Myślę, że stary park także zachował pamięć o dawnych zdarzeniach, ludziach odpoczywających w pobliżu, bawiących się dzieciach – bo przecież także drzewa mają swoją pamięć, co powtarzam od dziesiątków lat. Od czasu, kiedy powroty pamięcią w przeszłość są dla mnie tak ważne! Rysunek starych drzew, cienie przez nie rzucane i ławka pełna eleganckich pań i panów, którzy zapragnęli przysiąść w trakcie spaceru – wszystko to uchwycił fotograf na wyblakłym dziś zdjęciu. I przechowało się ono wraz z innym zdjęciami babki Wiery. Ona sama siedzi na ławce w kaliskim parku, w pięknej białej sukni, może raczej w kolorze écru, w wielkim, także jasnym kapeluszu, a obok niej jakiś nieznanymi mi oficer wsparty na szabli. Jest wesoło, może opowiadają sobie zabawne nowinki towarzyskie, a może żartują na temat ławkowej ciasnoty... I to wszystko zamknął na starej szklanej płycie fotograf wiosną lub latem 1907 roku. Tę właśnie datę babka Wiera własnoręcznie wpiisała na odwrocie...



I o tym drzewo, szumiąc, chętnie opowiada innym drzewom i przechodniom, którzy umieją słuchać. A może przekazuje jakąś późniejszą opowieść o dziewczynce z długimi warkoczami i wielkimi kokardami na końcu...

Po latach, w czerwcu 2013, stanie się ona bohaterką współczesnej miejskiej zabawy, gry literackiej, która przywiodła mnie raz jeszcze do Kalisza. Panna Nata, mała kaliszanka, później trochę większa uczennica jednej z tutejszych szkół, wreszcie prawie dorosła licealistka szanowanej i cenionej szkoły średniej. Jej śladów będą szukać uczestnicy rozpoczynającej się właśnie gry. Na placach, w domach, na balach, w szkolnych salach, w bibliotekach, w niezwykłym, pełnym światła – pomimo wiekowych drzew – parku. Ot, choćby pod pomnikiem Flory, pięknej ogrodniczki, sięgającej do koszyka z kwiatami. Jest takie kaliskie zdjęcie Naty, z mamą i bratem. Mała dziewczynka także trzyma w ręku niewielki koszyk, w którym mogły przecież leżeć zerwane wcześniej w ogrodzie kwiaty... Albo pod innym pomnikiem, który zachęca do zatrzymania się, przyjrzenia się kolejnej pięknej dziewczynie (może sławnej Sandalarce?), zapinającej pantofelek z pasków. Nie mam wątpliwości, że ten pomnik także budził kiedyś zachwyt małej dziewczynki z wielkimi czarnymi oczami. Miał w sobie coś ze świata Józefiny...

A więc na skwerku, vis-à-vis teatru, pod wielkim współczesnym plakatem informującym o zasadach gry, zbierają się jej uczestnicy. Poświęcona jest tym razem Srebrnej Natalii. W grze biorą udział głównie młodzi ludzie, jej rówieśnicy, którzy chcą odnaleźć kaliskie ślady dziewczyny, zanim stanie się heroiną pięknych miłosnych wierszy pisanym przez całe życie przez poetę w czarnym kapeluszu. Pójdźmy ich tropem, pozwoli on nam lepiej poznać bohaterkę tej książki, jej rodzinne miasto, przeżyte tu szczęśliwe dni i okresy, kiedy owego szczęścia zabrakło. Ale jak to zwykle u panny Naty bywało, dni bez pogody i słońca szybko były przepędzane precz...

W gimnazjum Anny Jagiellonki przyjaźniłam się z kilkoma uczennicami. Nie byłyśmy rówieśnicami, cztery były w tej samej klasie, jedna o klasę wyżej i jedna o klasę niżej, to właśnie byłam ja.

Miałyśmy mało wolnego czasu i jakiś wielki niedosyt życia. Wszystkie uciekałyśmy marzeniami w inny, nieraz egzotyczny świat. Na nazybch, ściśle zamkniętych zebraniach, odgrywałyśmy scenki z powieści, mitologii i własnej fantazji, których treść trzeba było kolejno odgadywać. Wymagało to wszystko wiele zachodu. Ja wyciągnęłam z kredensu mamy pięknie haftowaną, wielką gruzińską serwotę, która zależnie od potrzeb, była rekwizytem lub kostiumem.

Redagowałyśmy też własne, bardzo literackie i bardzo poetyckie pismo, które tylko dlatego przepadło w mrokach niepamięci, że każda z nas chciała pisać nowele, powieści, wiersze, żadna jednak nie chciała ich przepisywać. Nawet uroczyste przyrzeczenie, złożone nad brzegiem wodospadu w kaliskim parku, niewiele pomogło, a unikatowe numery ginęły szybko i bezpowrotnie.



2 Udał się do III Liceum Ogólnokształcącego ul. Kościuszk. To dawne gimnazjum Jagiellonki, do którego chodziła Natalia koleżankami. Zobaczą tam trzy żywe z mitologii greckiej. Należy odgadnąć, co przed i wpisać odpowiedzi do różowego prostokąta. Ci tam także spotkanie z panną Natą, która s odpowiedzi i wręczy Ci zdjęcia. Zdjęcia w odpowiednie miejsca na karcie do gry.

LIST JENCA'

*Kochanie, moje kochanie,
dobranoc, już jesteś senna –
i widzę twój cień na ścianie,
i noc jest taka wiosenna!*

*Jedyna moja na świecie,
jakże wylatują twe imię?
Ty jesteś mi wodą w lecie
i rykającą w zimie.*

*Ty i szczęście moje wiosenne,
zimowe, lato, jesień –
lecz powiedz mi na dobranoc,
wyczepiaj przez usta senne:*

*za cóż to taka zapłata,
ten raj przy Tobie tak błogi?...
Ty jesteś światłem światła
i pieśnią mojej drogi.*

Żywe obrazy:

1.
2.
3.

Chwała Najświętszej Maryi Pannie!

19.III.42. Gwiazdka przewodnia, otrzymałem wczoraj znowu trzy listy od Ciebie i kartkę od Lucjana, któremu zaraz na Twoje nazwisko odpisałem. Przeczytaj. Listy twoje wszystkie piękne, wszystkie kochane, wszystkie mądre. Za Kijeczka odmówiłem modlitwę specjalną do Królowej Apostołów, bo Król Apostołów jest Uzdrawieniem chorych. Ucałuj gorąco Kiru Mamę, pozdrów jak najpiękniej Marynę, Jerzego i Ferdynanda. Zamiast wiekianocnych błaganiów posyłam Ci parę strofok, które po przeszło dwuletniej przerwie jak umiałem, tak napisałem. K

jego na
n. Anny
razem z
obrazy
stawiają
teka Cię
prawdzi
a wklej



3 Natalia, będąc w Kaliszu, odwiedziła swoją przyjaciółkę Halinę w jej mieszkaniu na ul. Stawiszyskiej.

Wiądnąc do specjalnego autobusu i pojedź na kolejny punkt na ulicę Stawiszyską, Postępuj zgodnie z instrukcjami, jakie tam otrzymasz. Rozkład jazdy autobusu otrzymasz na starcie.

Po powstaniu przyjechałam do Kalisza. Wybrałam się odwiedzić moją przyjaciółkę ze szkolnych lat, Halinę Sutarzewicz. Halina mieszkała na ulicy Stawiszyskiej w małym pokoiku na mansardzie, który nazwaliśmy "kajuta płynąca ku lepszej przyszłości". Przyniosłam z sobą „Pieśń o żołnierzach Westerplatte” i „Sen żołnierza”. Czytałam i opowiadałam, jak znalazłam te swiersze w walizce z rzeczami Konstantego, którą po kampanii wrzesniowej przyniósł mi jego kolega z wiadomością, że Kot dostał się do niewoli i prawdopodobnie jest ranny. Opowiadałam też o jego listach z obozu jenieckiego, które później dostawałam i o tym jednym, w którym pisząc o myciu przez siebie podłogi westchnął: żeby to choć była podłoga w bibliotece.

Później znów czytałam napisany na urzędowym niemieckim formularzu list – swiersz zaczynający się od słów: Kochanie moje Kochanie, dobrano, już jesteś senna...



Halina Sutarzewicz



Natalia Golegowska

4 Przed kamienicą na ulicy Kościuszki 5 czeka na Ciebie Natalia. Przekaz jej napisany list. Następnie udaj się do Filii nr 4 Miejskiej Biblioteki Publicznej na Al. Wolności 27

Po upadku Powstania Warszawskiego byłam strasznie cboro. Tylko dzięki pomocy przyjaciół i trojce mojej matki szczęśliwie dotarliśmy do Kalisza. Cała nasza trójka: ja, córka Kira i mama zamieszkałyśmy w dużej kuchni domu, w którym w czasach panieńskich mieszkała mama. Ulicę Kościuszki Niemcy nazywali Goethe Strasse. W pokojach parteru mieszkała Ewelina Baudouin de Courtenay, dawna nauczycielka muzyki mojej mamy. Górę domu zajmowała jakaf Frau w bitlerowskim mundurze.

W czasie tego właśnie pobytu w Kaliszu odnowiłam zadzierzgnięte dawniej serdecznie znajomości z ludźmi poznanymi przed laty, przede wszystkim z założycielami stowarzyszenia, któremu patronuje Halina Sutarzewicz, kaliszanka, niestrudzona propagatorka swojego miasta, jego historii, ważnych w skali kraju postaci – Asnyka, Konopnickiej czy Dąbrowskiej – wreszcie starsza koleżanka Natalii, mądra i dzielna kobieta. Przyjeżdżała często do Warszawy i wtedy na ogół zatrzymywała się w gościnnym domu Natalii. I tak miałam okazję poznać panią Halinę, która do końca swego życia czuwała nad moimi kaliskimi krokami – realnymi i kreślonymi w książkach. Podsuwała lektury, przywoływała wspomnienia, chętnie szperała w kaliskich archiwach, a o wynikach owych poszukiwań informowała mnie w pisanych kartkach, na odwrocie których widniało zawsze zdjęcie jakiegoś fragmentu jej rodzinnego miasta. Nic więc dziwnego, że jednym z elementów rozgrywanej literackiej gry miejskiej w czerwcu 2013 roku będzie wizyta w małej mansardzie pani Haliny, nazywanej przez obie dziewczyny „kajutą płynącą ku lepszej przyszłości”. Poznałam to miejsce u schyłku ostatniej wojny, kiedy to we trójkę – babka, mama i ja – znalazłyśmy się w Kaliszu. Opowiadam o tym w innym miejscu.

Teraz chciałabym przedstawić ciemnoooką dziewczynę, historyczkę sztuki i dziennikarkę, także prawie kaliszankę, także zafascynowaną tym miastem, jego historią, mieszkającymi tu kiedyś ludźmi, o czym pisze książki i godzinami potrafi opowiadać. A jeszcze kochającą jedno z czarownych płócien Rembrandta, które jeździ podziwiać do nowego Królewskiego Muzeum w Amsterdamie, przedstawiające złotawą „Żydowską narzeczoną”. To Anna Tabaka. Powiem krótko: pani Anna wzbogaciła moje domowe archiwum o moich kaliskich pradziadach – Jelizawiecie Justinownie i Piotrze Dmitriewiczu Sknaksarewach – o kilka niezmiernie ciekawych dokumentów, które za zgodą znalazczyni publikuję.

O jednym z nich muszę napisać szerzej, bo wywołał on potok skojarzeń, potrzebę wędrówek w przeszłość. Jest

to akt kupna przez Piotra Snaksarewa parceli w Kaliszu oznaczonej numerem 53. To dzisiejsze centrum miasta: plac Konstytucji, przy wjeździe od strony ulicy św. Józefa. Tę nieruchomość nabył mój pradziad od małżeństwa Fryderyka i Emmy z Fechnerów Nerger, zamieszkałych w Zgierzu, co dokładnie zanotował Teofil Józef Kowalski, rejent Kancelarii Ziemiańskiej w Kaliszu. Transakcja miała miejsce w 1874 roku. Na parceli tej trzy lata później stanęła wielka, z pięcioma kopułami, cerkiew pod wezwaniem Piotra i Pawła, rozebrana następnie w okresie międzywojnia. Sprzedający jeszcze tego samego dnia otrzymali sumę blisko czternastu tysięcy rubli. Zakup kaliskiej nieruchomości przez Piotra Dmitriewicza Snaksarewa został zrealizowany na zlecenie Skarbu Cesarstwa Roskiego.

Inny dokument z kaliskiej parafii prawosławnej potwierdza fakt, iż babka Wiera miała brata bliźniaka Aleksandra, który zmarł kilka miesięcy po urodzeniu. We wcześniejszej książce o Natalii wątpiłam w istnienie brata-bliźniaka, teraz pani Anna Tabaka przekonała mnie, że nie miałam racji.

Przeżyciem dla mnie stała się raz jeszcze wizyta w małej, zbudowanej w latach dwudziestych świątyni, która mieści w sobie okruchy tamtej monumentalnej budowli; w cerkwi tej, której jak tamtej – pięciokopulastej – patronują Piotr i Paweł, z pewnością modliły się kiedyś i moja babka Wiera, i mała wówczas mama Natalia. Mówią o tym zdjęcia przechowane przez babkę – samej cerkwi i plafonu – ocalone w słynnej babcinej torbie.





Pora więc, aby o niej opowiedzieć. Była duża i – w mojej pamięci – zniszczona, z brązowej skóry. Paradowała z nią po krakowskich ulicach Natalia, co uchwycił nieznany fotograf. Jest wczesna wiosna 1946 roku. Ojciec w mundurze, Natalia w jakiejś kurteczce z koca. Oboje uśmiechnięci, szczęśliwi. Na przedramieniu Natalii zwisa spora, dość wypchana torba. To właśnie w niej, kilkanaście miesięcy wcześniej, babka Wiera ulokowała wszystkie swoje skarby: zdjęcia, dokumenty, pamiątki, w chwili kiedy Niemcy po upadku powstania, w październiku 1944, wygнали nas z Żoliborza do obozu w Pruszkowie. Tak ocalały wszystkie publikowane w tej książce stare, pożółkłe zdjęcia, głównie z czasów kaliskich. A jedynymi materialnymi pamiątkami z tamtych lat jest maleńki napastrzek ze srebra i równie mała, płaska skarbonka, także ze srebra; przypomina ona bardziej papierośnicę niż miejsce na grosiki. Miała jeszcze maleńki kluczyk, ale ten, co rozumiałe, nie ocalał. Tę piękną, starą skarbonkę podarował Nacie jej ojciec. Dziś, ilekroć jej

dotykam, pojawia się piękna twarz mego dziada i jego ślicznej córki. Oboje trzymali przecież ten przedmiot w swoich rękach! Ten srebrny bibelot musiał to zapamiętać! Mam w domu jeszcze inny przedmiot podarowany małej Nacie przez jej ojca: to niewielka ikonka*, którą dziewczynka nazwała *Люльки Малыльки* i rozstała się z nią dopiero w sierpniu 1939, kiedy to pakowała plecak idącego na wojnę męża Konstantego Ildefonsa. Ikonka wróciła do Natalii wraz mężem, w marcu 1946. Dziś jest jedną z piękniejszych i droższych pamiątek po moich najbliższych. Do tej tkliwej pamięci dopisuję, w wyniku ostatniego pobytu w Kaliszu, jeszcze raz mego dziada, Konstantego, ofiarodawcę owej ikonki... Tych kilka zdań wyjaśnia, dlaczego mała ikona Natalii nie znalazła się w torbie babki Wiery, obok srebrnej skarzonki i naparstka.



A torba skończyła swój żywot w latach sześćdziesiątych, wyrzucona przez Natalię po prostu na śmietnik. Pozostała jedynie w mojej pamięci i na zdjęciu zrobionym przez nieznanego mi człowieka.

W kaliskiej cerkwi zapaliłam w intencji mamy, Wiery i jeszcze kilkorga najbliższych mi osób świeczki i długo myślałam o pokretnym losie, który mnie znów sprowadził nad Prosnę. A już niemal z gatunku metafizyki była ponowna wizyta w dzisiejszym Centrum Kultury i Sztuki, gdzie kiedyś mieściła się pułkowa cerkiew, w której mój dziad Konstanty i babka Wiera brali ślub. Mówi o tym zaproszenie na tę ceremonię, uratowane przez bohaterkę tamgo zdarzenia w jej przepastnej, mitycznej dziś dla mnie torbie; wśród innych fotografii, dokumentów i druków zachowało się także zdjęcie sporej grupy uczestników pewnego maskaradowego balu. Nieznany fotograf utrwalił na tym zdjęciu postać mego dziada, pięknego Gruzina, który stoi oparty

* Zob. s. 198.



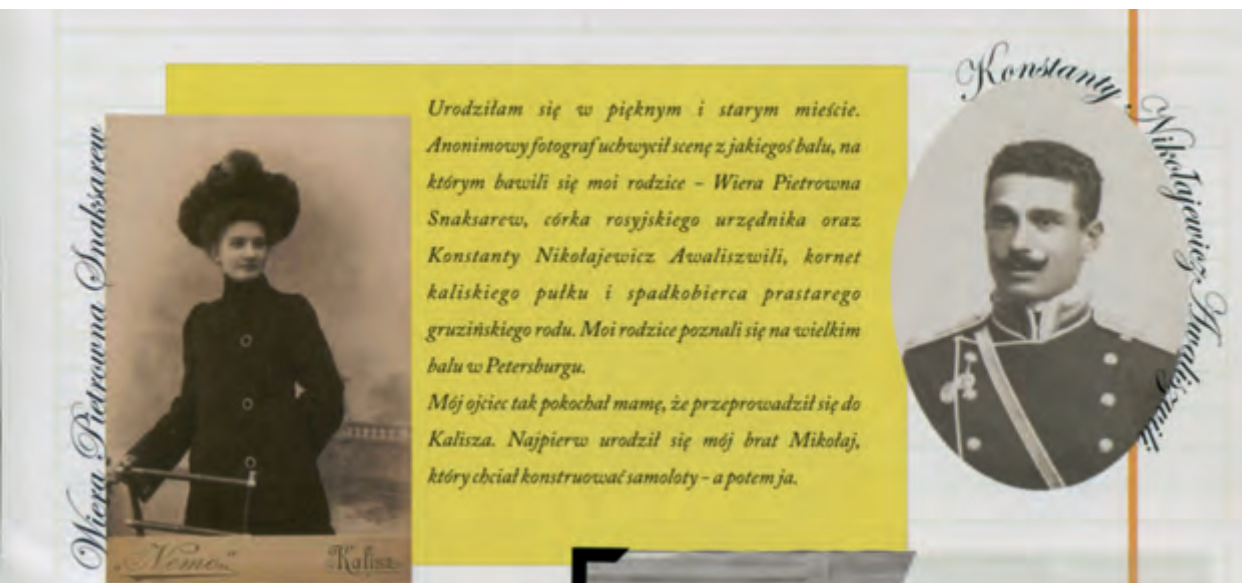
o ścianę starego domu, reprezentacyjnej budowli, gdzie – poza pułkową cerkwią – mieściła się także ta sala balowa. Dom stoi do dziś, nadal sprawuje funkcje reprezentacyjne, dobrze służy kulturze... Oparłam się po blisko stu latach o tę samą ścianę i w pewnym momencie poczułam przebiegający po plecach dreszcz. Miałam wrażenie, że poraził mnie prąd. Czy to mój dziad chciał mi coś przekazać? Czy to ja sama poddałam się czarowi chwili? Czy nie za bardzo uwierzyłam we fluidy ezoteryczne? Na ile owo intensywne zespolenie z dziadem Konstantym było prawdziwe, a na ile wymyślone? Nie dojdę prawdy, trzeba to jedynie zapamiętać jako ważne dla mnie przeżycie. Słowem, czysta metafizyka!

A teraz coś z gatunku zdarzeń zabawnych. Po rozmowie z batuszką w cerkwi Piotra i Pawła dostaję od niego obrazki z wizerunkami świętych patronów. I wtedy konstatuje nieco ubawiona, że pewnie wszyscy reprezentanci

rozmaitych wyznań w identyczny sposób obdarowują ważnych dla siebie napotkanych ludzi. Przypomniała mi się wizyta prymasa Glempa w Praniu w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych: podarowałam mu wówczas na pamiątkę pięciotomowe czytelnikowskie wydanie K.I.G. Wzruszony, pragnąc się zrewanżować, zapuścił rękę do pojemnej kieszeni sutanny i wyjął z niej... obrazek jakiegoś świętego. Kiedy opowiadam, jak znalazł się u mnie, nikt nie chce wierzyć. Gwoli ścisłości muszę uzupełnić, że po jakimś czasie otrzymałam od prymasa książkę o kardynale Wyszyńskim pióra Andrzeja Micewskiego, z dedykacją dziękującą za pokazanie muzeum poety. Książkę, ale i obrazek, zachowałam po dziś dzień!

Teraz, podczas gry miejskiej, stając w grupie młodzieży przebranej i ucharakteryzowanej na bohaterów zdjęcia (jeden z chłopców odtwarzający mojego dziada dzielnie walczył z odklejającymi się wąsami!), poczułam się, jakbym weszła w inną rzeczywistość. To nic, że obok jeździły samochody, a po niebie przesuwały się samoloty... Na moment – jakże w tej chwili ważny – znalazłam się w Kaliszu, na początku tamtego stulecia. Dwudziestego!

A o tym zdjęciu dokładniej opowiadam dalej, w kaliskim rozdziale biografii Natalii.





Do tych wstępnych notatek ze współczesności muszę dodać jeszcze jedną historię związaną z Gruzją, a więc stanowiącą część historii życia Natalii, a głównie jej ojca, Konstantego Awaliszwili. W rozdziale gruzińskim tej książki opisuję swoją podróż do Tbilisi, a potem dalej, w wysokie góry, tropem moich dziadów. Do kilkorga ludzi zajmujących się mną wówczas w sposób szczególnie serdeczny należał ambasador Polski w Gruzji pan Jacek Multanowski z żoną Kingą. Po jakimś czasie wrócili do Polski, ale nie widzieliśmy się dość długo, bowiem spadły na mnie konsekwencje ciężkiego wypadku. Aż wreszcie, niemal dziesięć lat po poznaniu, państwo Multanowscy przyszli do mnie z sześćdziesięcioletnią córeczką Matyldą i z gruzińskimi prezentami: wielką butlą wody Borżomi w specjalnym drewnianym stojaku, na którym widnieje imponujący napis „Established 1890” oraz równie wielkim obrazem przedstawiającym górski pejzaż. Jest nim wąż Borszomi-Charagauli, który do czasów poprzedzających datę widniejącą na opakowaniu wody stanowił własność moich dziadów Awaliszwili. Obraz namalowała Ana Gemazaszwili w roku 2006. A historia dotarcia tego pejzażu do Polski jest równie niezwykła, jak on sam.

Pani Kinga opowiada: „Obraz płynął pod bombami. Spakowaliśmy go razem z naszym dobytkiem i miał płynąć frachtem do Polski. Firma transportowa była z Belgii i budziła zaufanie. Ale kiedy już zabrała nasze rzeczy, dokładnie wtedy (!), zaczęła się sierpniowa wojna osetyńska między Gruzją a Rosją i port w Poti został przez Rosjan zaminowany. Transport nie mógł wypłynąć... Port był bombardowany, a statek stał, na statku – kontener, a w kontenerze obraz i woda (w butelce)... Nie było nam do śmiechu... Pożegnaliśmy się z naszymi rzeczami, trudno... Nie mamy już bagażu i tych wszystkich kłopotów... Problem z głowy, w domu więcej miejsca... Wróciliśmy do Polski w listopadzie, a w styczniu odzyskaliśmy nasze rzeczy. Przyplłynęło wszystko. I moje pianino z Tbilisi, i moja kolekcja liczydeł z Suchego Mostu, i ponad trzydzieści metalowych cedza-

ków, które kupowałam, gdzie się dało... no i pani woda z Borżomi! Nawet butelka się nie zbiła! Takie były prawdziwe losy borżomskiego obrazu. Trzeba to opisać, bo nikt nie uwierzy!”.

Tyle pani Kinga Multanowska, przedstawiająca dzieje podróży pewnego ważnego dla mnie pejzażu i butelki, które dotarły do mnie w stanie nienaruszonym dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, dzięki losowi! Tak miało być, jak powiedziałyby babka Wiera!

Pejzaż utrzymany jest w zieleniach. Zielone są strome zbocza wysokich Gór Mescheckich, zielonkawe, choć przechodzące w czerni smukłe cyprysy, błękitny wartki potok zamknięty w perspektywie przez lekki (pozornie!) mostek. Otaczające wszystko wysokie, łączące się z białymi obłokami góry rozjaśnia tu i ówdzie promyk słońca.

Dzisiaj jest to Park Narodowy, jeden z największych w Europie obszarów chronionych. Kiedy ja tam dotarłam, a był to przełom października i listopada, mniej więcej do połowy wysokości gór leżał już świeży śnieg. Tutaj, na pejzażu pani Gemazaszwili, panuje lato, ale pozbawione upału. Powietrze, zda się, krystaliczne, przypomina, że jesteśmy wysoko nad poziomem morza.

Możesz, Drogi Czytelniku, spojrzeć na ten obraz, reprodukowany tutaj po raz pierwszy. I możesz skonfrontować swoją ocenę z moją. Jednak dla Ciebie będzie to jeden z tysiąca oglądanych pejzaży, a nie – jak dla mnie – jedno z zaczarowanych miejsc na świecie!

Na ten pejzaż patrzę każdego dnia, gdy tylko siadam w swoim fotelu – stoi przede mną oparty o krzesło pod przeciwległą ścianą. Jest wciąż nieoprawiony. Nie znalazł miejsca na żadnej ze ścian, w żadnym innym pokoju. Wynosząc go z jego dotychczasowego, wciąż prowizorycznego „miejsca postoju”, musiałabym się z nim rozstać na czas posiadów w moim „dużym” pokoju. Nie chcę tego. Niech więc tak zostanie.





Myślę sobie, popatrując na zielonkawy pejzaż, że gdzieś na tych szczytach i wokół nich mogła odbywać się zimowa olimpiada, bo przecież Borżomi ubiegało się w czerwcu 2006 roku – wraz z kilkoma innymi kurortami świata – o organizację zimowych igrzysk olimpijskich w roku 2014! Wygrało rosyjskie Soczi. I nic dobrego z tego nie wynikło. Tak przynajmniej twierdzili ekolodzy. Może więc i lepiej, że okolice Borżomi i sam kurort, tworzące ów Park Narodowy, wciąż pozostają dzikie, prawie pozbawione stacji narciarskich, wyciągów, hoteli, autostrad i wszystkiego tego, co kryje się w określeniu „cywilizacyjna infrastruktura”? Kiedyś dotrze ona i tam, i wtedy nad Górami Mescheckimi zapłonie olimpijski ogień. Ale czy nastąpi to w tym stuleciu? Chyba nie.

Od ukazania się pierwszego wydania *Srebrnej Natalii*, a więc w ostatnich blisko dziesięciu latach, poza przywołanymi wyżej okruciami kalisko-gruzińskimi miały miejsce jeszcze inne zdarzenia związane z bohaterką mojej książki. O wszystkie te fakty poszerzona więc została obecna edycja jej biografii, która przed laty cieszyła się dużym zainteresowaniem czytelników.

Wzbogacona o nowe zdarzenia, zdjęcia i dokumenty, *Srebrna Natalia* trafia teraz, Szanowny Czytelniku, do twoich rąk, z wiarą i przekonaniem, że wywoła zainteresowanie i odzew, na jakie zasługuje ta postać. Zatem odnotujmy „Natalijne” wydarzenia, jakie miały miejsce pomiędzy dwoma wydaniami obu biografii.

Otóż Iskry kilkakrotnie wznawiały tom wierszy napisanych przez K.I.G. dla Natalii w ciągu ich trwającego dwadzieścia trzy lata szczęśliwego związku; dałam mu tytuł *Serwus, madonna*, bo uznałam, że lepszego tytułu nie ma i nie będzie. (Notabene piosenkarz Janusz Radek myślał dokładnie to samo, kiedy wydał płytę ze swoimi piosenkami. Ale tekst, który dał tytuł płycie, napisał sam. I podobno nigdy nie słyszał o wierszu K.I.G. Przepraszam za ten wtřęć, ale wydał mi się na tyle zabawny, że nie mogłam się powstrzymać przed przytoczeniem go tutaj! To drobiazg, który także w jakimś stopniu dotyczy przecież Natalii G.!)

Kiedy skończyłam pracować nad tomem wierszy dla Iskier zdałam sobie sprawę, że w polskiej literaturze nie istnieje podobny zbiór. Oczywiście, poeci przez stulecia pisali wiersze i poematy dla kochanych przez siebie kobiet, słowa chwilowego czy nieco dłuższego zachwytu zamieniali w magiczne wersy, ale ich uczucia, jak pokazuje historia naszej liryki miłosnej, nie trwały długo. Poznawali inną kobietę i ku innej kierowali swój afekt. I tylko raz jedna kobieta była obiektem zachwytu jednego poety przez całe jego życie. To zdarzyło się Natalii i Konstantemu. Ich wielkie uczucie, ich wspólne bytowanie trwało dwadzieścia trzy lata. Pod koniec swego krótkiego życia napisał przecież:

a ja biję przed tobą pokłony,
zakochany, zazdrosny, spragniony,
i nazywam ciebie srebrną nocą,
srebrną różą z ręki zwisającą.

Czy to oznacza, że w życiu mojego ojca nie istniały inne kobiety? Byłabym osobą pozbawioną elementarnej uczciwości, gdybym tę sprawę usiłowała pominąć czy ukryć. Oczywiście były, ale tak mało znaczyły! Stawały się jego zbłąkaniami, o których pisał, z których spowiadał się żonie, gdy zaczynał się „przyływ sumienia”. Do niej wracał, wiedząc, że mu wybaczy, że zrozumie, że nie przestanie kochać. Opisałam to szczegółowo w pierwszym wydaniu *Srebrnej Natalii* z roku 2006, powtarzam i teraz. Dlatego mam prawo twierdzić, że wydobywanie ich jako „sensacyjnych odkryć” w różnych książeczkach czy kolorowej prasie jest po prostu zwykłą nieuczciwością. Zarówno wobec nieżyjących Natalii i Konstantego, jak i mnie – autorki ich biografii.

A ukazała się taka jedna książeczka, w Krakowie, nakładem Znaku, prezentująca biografię K.I.G. Autorką jest Anna Arno; pod tym wydumanym pseudonimem kryje się recenzentka wystaw plastycznych. Co jej do Gałczyńskiego? Nikt nie wie, zwłaszcza po lekturze owej „biografii”, pełnej błędów rzeczowych i przeinaczeń. Wystarczy przywołać fakt tylko jednego przekłamania: dotyczy szyldu, który poeta przywłaszczył sobie w czasie jednej z wielu krakowskich nocnych eskapad (reszta w *Zaczarowanej dorożce*). Napis brzmiał: „Akuszerka Pechowa”. Toż to nienapisana *Zielona Gęś!* U autorki spod znaku Znaku szyld informuje: Akuszerka Bezpieczna. Kończy się żart, niespodzianka, bliskość ze światem poezji K.I. Pozostaje rzucona czytelnikowi jeszcze jedna odpowiedź: pijak, awanturnik.

I taka jest cała ta książka: niesamodzielna, skłamana, tendencyjna; powielająca znany z pamfletu Miłosa nieprawdziwy portret poety antysemitę, pijaka, babiarza. Dostaje się i Natalii. Autorka niemal z rozkoszą cytuje

brzydkie słowa Artura Marii Swinarskiego, zanotowane kiedyś po pijaku, z których się wycofał, przepraszał i które „odpracowywał” z nawiązką w listach, dedykacjach, powtarzanych opowieściach. To dla Arno, która po prostu nie lubi swoich bohaterów, zupełnie nieważne, jej odpowiada jedynie brzydkie określenie „Genitalia”, nadane kiedyś przez A.M.S. Ten cytat mówi o przywołującej go autorce dużo: o jej zamiłowaniach, preferencjach intelektualnych, rodzaju żartu... (Mówię tu o wersji przed drukiem, którą mi pokazano. Innej nie znam. Być może ktoś mądrzejszy doradził autorce, aby ten mało elegancki epitet w wersji ostatecznej usunęła – nie wiem.) O prawdziwym stosunku Artura Marii do Natalii i Konstantego piszę szerzej w rozdziale opowiadającym o ich krakowskich czasach. A poza tym Arno grzebie w romansach poety, prawdziwych i wymyślanych z rozkoszą; nawet Lidka Zamkow znalazła się wśród „zdobyczy” K.I., co jest po prostu prostacko zabawne, ale nie raczyła zauważyć, że tygodniowe spotkanie z Nelą M. nie zostało nawet skonsumowane... Nie przeczytała trzynomowego wydania czytelnikowskiego z roku 2002, ale wyrokuje, że przedwojenne (czytaj „antysemickie”) wiersze poety nigdy po wojnie nie były publikowane... Nie pojechała nawet do Prania, choć nie leży ono na końcu świata. A to takie ważne miejsce w życiu i twórczości Konstantego Ildefonsa... Itd., itp.

Pora kończyć więc z tą edytorską pomyłką.

Nie znoszę zdrobnień, wręcz brzydzę się nimi (słowo „pieniążki” wywołuje u mnie odruch wymiotny!), ale przywołana publikacja zasługuje jedynie na określenie „książeczka”. Na nic więcej.

Muszę wspomnieć o jeszcze jednym wydarzeniu dedykowanym Natalii: o wystawie fotografii pokazanej w sierpniu 2008 roku. Wtedy mijała setna rocznica jej urodzin. Zdjęć było niewiele, bo w pierwszej części tamtego stulecia aparat fotograficzny nie był czymś tak powszechnym jak dziś. Kiedy przygotowywaliśmy się do pokazania tej małej

wystawy, dręczyły mnie niespokojne sny: niemal co noc śniła mi się Natalia, która przychodziła do mnie, siadała na brzegu tapczanu i z wymówką, pokazując na plakat, mówiła z półuśmiechem:

– Coś ty wymyśliła?! Jakie sto lat? Czy ja na to wyglądam? Tylko popatrz...

I patrzyłam w jej wciąż młodą twarz, błyszczące oczy, na smukłą figurę i nadal widoczną dziewczęcość, i powtarzałam sobie jej pytanie:

– Jakie sto lat? Coś mi się chyba pokręciło...

Jednak o szybko upływającym czasie mówiła widownia zapewniająca salkę Instytutu Teatralnego. Na to spotkanie z młodą Natalią nie przyszedł nikt z jej przyjaciół (choć jedna sędziwa pani żyje. Ale Natalia jej nie lubiła, ja też za nią nie przepadam, więc jej nie zaprosiłam). Innych przyjaciół mamy zabrakło, bo ich po prostu wśród nas już nie ma, przyszły natomiast ich dzieci – a więc i Rosa, córka Heleny, i Paweł, syn cudownego Dziadzi, i Elżbieta – dziecko tak bliskich Maryny i Jerzego, a także dzieci jej dalszych znajomych i ludzi, którzy ją tylko znali. I popłynęła opowieść o jakichś fragmentach jej życia, o przelotnych spotkaniach, o zaskakujących dedykacjach zostawianych przez nią na poźółkłych już, napisanych przez nią kiedyś książkach...

I tak Natalia pojawiła się znów wśród zieleni parku, do którego często kiedyś chodziła, bo niedaleko stąd mieszkała. A właśnie tu, po wielu latach, ulokował się Instytut Teatralny. Niemal łączy się z kawiarnią, którą moja mama szczególnie lubiła – z kawiarnią Na Rozdrożu. Wtedy jeszcze nie została wybudowana Trasa Łazienkowska; skrzyżowanie Alej Ujazdowskich i placu na Rozdrożu, dzięki światłom, można było pokonać górą, bez schodzenia pod ziemię... Bo i przejścia podziemnego wtedy nie było! A i kawiarnia też wyglądała zupełnie inaczej... Tutaj, zwłaszcza latem, Natalia spotykała się ze swoimi przyjaciółkami, tutaj piły kawę, plotkowały, relacjonowały sobie ostatnie ciekawe zdarzenia, spotkania, rozmowy...

Odważyłam się wtedy i przeczytałam głośno twój ukochany wiersz ojca – *Jesień* z roku 1926 – ze wzruszającymi mnie, jak zawsze od chwili, gdy go po raz pierwszy od ciebie usłyszałam, wersami:

o, młody przyjacielu, poszukaj kochanki
z małym domkiem, ogródkiem, sennym fortepianem,
która by włosy twoje czesała nad ranem,
z którą byś przy śniadaniu czytał Mickiewicza...

i kiedy skończyłam, przy ogólnie zaległym wzruszeniu, w ciszy, miałam nieodparte wrażenie, że także wzruszona pojawiłaś się koło mnie. I nie miałaś już pretensji o owe sto lat...

Wspominałam, że istnieje niewiele zdjęć Natalii, dlatego każde nowe jest dla mnie wydarzeniem. Przed kilkoma laty na mailowy adres strony poety nadeszło z USA dość dziwne zdjęcie; przedstawia K.I.G. i jego młodziutką żonę w czasie ich pobytu w stolicy Niemiec. Stoją w jakimś parku, otoczeni sosnami, świerkami, a więc drzewami zachowującymi zieleni przez cały rok. Jedynie ciepłe ubrania wskazują, że to musi być albo wczesna wiosna, albo późna jesień. Coś się między nimi dzieje zabawnego: Natalia jest uśmiechnięta, Konstanty opowiada o czymś przejęty, skłaniając żonę do radości. Szkoda, że to zdjęcie jest pozbawione wszelkiego opisu: nie znamy ani daty jego powstania, ani miejsca, ani autora. Wiemy jedynie, że pochodzi ze zbiorów pani Drzewienieckiej, córki Zofii Wiśniewskiej, która w pierwszej połowie lat trzydziestych pracowała w Konsulacie Polskim w Berlinie; zbliżyła się wówczas z Gałczyńskimi i najprawdopodobniej to ona jest autorką zdjęcia.





Śniadanie
na trawie

Podobnie rzecz się ma z innym zdjęciem, które dostałam od aninianki, pani Barbary Wołodźko Maziarskiej. Napisała ona dwutomowy album *O starym Aninie – inaczej*.

To nieznane dotychczas zdjęcie jest pod każdym względem niebywałe: przedstawia piknik w Zbójnej Górze, dokąd podobno jeździło się z Wawra konnym tramwajem. W owym podwieczorku albo śniadaniu na trawie biorą udział Natalia z Konstantym oraz państwo Zarubowie (tożsamości pozostałych czterech osób nie udało się ustalić, podobnie jak konkretnej daty). Wiadomo, że ów piknik odbył się wiosną, latem lub wczesną jesienią pomiędzy rokiem 1937 a 1939. Natalia jest na tym zdjęciu taka młodziutka, taka śliczna, dopisuje jej apetyt, z zainteresowaniem patrzy na rozłożony na obrusiku prowiant, który właśnie wyjęto z walizki, obok niej Konstanty z głową pełną loków! Nigdy czegoś podobnego nie widziałam – ani

w życiu, ani na żadnym zdjęciu. Po prawej stronie poety opycha się czymś sam mistrz kpinek Jerzy Zaruba w kaszkiecie, a obok niego nieznanym nam fotograf uchwycił Florę Zarubinę. Jest to jedyne zdjęcie przedstawiające mi młodą Florę; jako anińskie dziecko nie pamiętałam jej, a poznałam dopiero w Londynie, w latach sześćdziesiątych. Na zdjęciu z podwieczorku na trawie w Zbójnej Górze nie widać jej płomiennorudych włosów Szkotki (koloru całkowicie wówczas naturalnego, dopiero później utrwalonego przy pomocy chemii!).

To jest rewelacyjne zdjęcie! Ale to nie wszystko, czym obdarowała mnie pani Maziarska. Otóż ni mniej, ni więcej stwierdziła, że nasz aniński dom nie spłonął we wrześniu roku 1939, lecz stoi do dziś, pod innym co prawda adresem, bo Leśna zmieniła nazwę – dziś to ulica Trawiasta! Co mam o tym sądzić? Nie wiem, gnębi mnie multum pytań, na które nikt nie udzielił mi przekonującej odpowiedzi. Dlaczego Natalia, Zaruba i sto innych osób, w tym spotykani przeze mnie aninianie w nowej bibliotece na Trawiastej, mieliby mnie okłamywać na temat anińskiego domu, mówiąc o jego pożarze na początku wojny czy tylko współczesnym „niebycie”. Dlaczego, jeżeli stało się inaczej, nie wróciłyśmy do niego, na Leśną, a zamieszkałyśmy w domu Jerzego Zaruby? Skąd te wzruszające opowieści o ratowaniu czterech przedmiotów (przypomnę: ikony, szpady od „pewnej wdowy”, świecznika, co „służył u pradiada” K.I.G., i biedermeierowskiego słupka) z płonącego drewniaka? Dlaczego współcześni aninianie, w tym Antoni Wiweger, mój krewny przecież (urodzony w Aninie i znawca tematu!) uważa teorie pani Maziarskiej za pozbawione większej racji? Powojenne zmiany numeracji domów, nazw ulic oraz ich przebiegu sprawiły, że dziś już nie wiadomo, gdzie stał tamten dom. Wiadomo jedynie, że dawna Leśna to dziś Trawiasta!

Przeglądałam się temu rzekomo ocalonemu domowi uważnie: stoi, otynkowany, ale nie zgadza się topografia: gdzie tu las, który, jak zapewniał poeta, otaczał, poza

ulicą Poprzeczną, cały dom? Ten element powtarza się w wielu wierszach, w prozie także. Dziś lasu nie ma, na posesji rosną sosny, jak w całym Aninie, do prawdziwego lasu trzeba wędrować. Wygląda, jakby na miejsce jednego, powstał drugi. Bo tu nic się w opisie nie zgadza z tym, co zanotował poeta. Zgoda: poezja to nie jest opis tego, co wykonał budowniczy domu. Może dlatego zupełnie inaczej z panią Maziarską rozumiemy słowo „weranda”, „balustrada”. I jeszcze jedna z pomyłek autorki albumu *O starym Aninie – inaczej*: uważa ona bowiem, iż ten dom Gałczyńscy kupili i że ów „skromny budynek był na miarę możliwości”. Tymczasem anińskie lokum było jedynie lokum wynajmowanym! Moi rodzice nigdy nie mieli tak sporej gotówki, aby kupić i działkę, i dom (tu tkwi, jak przypuszczam, geneza błędnego myślenia pani Maziarskiej w kreowaniu swoich wątpliwych racji). Adres Leśna 18 nigdy nie był własnością ani poety, ani jego żony, ani moją! Gdyby było inaczej, czyż nie zamieszkałabym w Aninie po wojnie? Dziś ów rzekomo Gałczyński domek stoi (według pani Maziarskiej) u zbiegu IV Poprzeczej i Stradomskiej (choć na planie namalowanym przez panią Maziarską nosi ona nazwę Leśnej) – czyli w ogóle totalne zagmatwanie, zwłaszcza jeżeli będziemy pamiętać o niezbitym fakcie, że dawna Leśna to dziś Trawiasta, że ta ostatnia też krzyżuje się z IV Poprzeczną, ale w tym miejscu stoi już całkiem inny dom! I tylko ta lokalizacja mogłaby być brana pod uwagę w poszukiwaniach domu Gałczyńskich.

Inne nieporozumienie polega na tym, że 4 grudnia 1953 roku mój ojciec i mama w swej wędrowce po starym Aninie nie zajrzeli na Leśną, czyli Trawiastą. Była noc, niczego, co opisuje pani Maziarska, nie zobaczyli. Także i dlatego, że tam nie dotarli.

W tym, co stoi dziś pod dawnym adresem Leśna 18, nikt nie odnajdzie lekkości drewnianej architektury: tutaj front zrobiony został z betonu i cegieł! I to widać, to się czuje, w tym „nie ma ducha”, jakby powiedzieli ludzie z poprzednich, dawno minionych lat. Czas zrobił swoje, a mianowicie

zatarł prawdę o nim. Niczym szczególnym się nie wyróżnia, jest dokładnie taki sam, jak sto innych wokół; sprawia po prostu wrażenie zbudowanego byle jak, w pośpiechu, na miejscu innej budowli. Patrzący na niego dziś jak ja, zza płotu, nie doznaje na jego widok cienia emocji, bo posłużył za miejsce, gdzie powstał arcypoemat, zaczynający się od słów:

Ona mi powiedziała: „Zgaś lampę na werandzie,
już północ, no! nie bądź głupi!”.

Słowem najpiękniejszy poemat także o podwarszawskim Aninie!

Czy nie słuszniej ignorować istnienie tego białego otynkowanego kubika na ulicy Stradomskiej i uwierzyć, że tamten, opisywany przez K.I., też przecież biedny, także niczego nieudający, po prostu przestał istnieć, jak tyle innych mniej lub bardziej ważnych rzeczy? Nie wiem. Dla mnie on spłonął, a dla innych?... To tylko od nich samych zależy...

Jestem w taki momencie życia, że mogę zawierzyć jedynie papierowi, dlatego zaczynam ten tekst zamieniać w list do Natalii. Będzie w nim mowa o sprawach ważnych dla nas obu, a zwłaszcza dla Natalii, mojej mamy. Taki papierowy list.

„Kochanie moje. Zaczynam od smutnej wiadomości: przestał istnieć «Przekrój», tytuł ważny i dla Ciebie. Stało się to późną jesienią 2013 roku, kilka lat po tym, jak redakcję przeniesiono z Krakowa do Warszawy. Nowe kierownictwo nie chciało widzieć na stołecznych łamach «P» ani Kerna, ani Lengrena. A potem było jeszcze gorzej i tygodnik padł. Dołączył do dziesiątków tytułów, które w nowej rzeczywistości nie znalazły czytelników.

Następna wiadomość zawiera dużo więcej czerni: umarł Bułat. Stało się to pod koniec tamtego stulecia (wyobraź sobie, że mamy już XXI wiek!), w szpitalu w Paryżu. Pamiętasz, jak go do nas przyprowadziłaś? Początek lat sześćdzie-

siątych; właśnie niedawno wróciłaś z Rosji, gdzie poznałaś Annę Achmatową... Bułat przyjechał wtedy po raz pierwszy do Warszawy, mieszkał w hoteliku Związku Literatów, i zabrałaś go wieczorem z przepelnionej kawiarni na dole, oczarowana nim, jego opowieściami o Gruzji, skąd pochodził. Był twoim krajanem – cudownym, ciepłym, dobrym, delikatnym, wyciszonym. Mówił o swoim mistrzu, wspa- niałym poecie Simonie Czikowanim, któremu poświęcił niejeden wiersz; tego autora także poznałyśmy u nas w domu, w Warszawie, a on później tłumaczył wiersze K.I.G. na gruziński i wydał je w tomie w latach siedemdziesiątych, a wcześniej opiekował się Tobą w czasie Twojego odkrywania Gruzji i zawiózł Cię do miejsca, skąd pochodzili Twoi dziadowie... I jeszcze zachwyty nad malarzem Pirosmanim, i mieszkającym w Gruzji innym malarzem, Zygmuntem Waliszewskim, którego obraz podarowany mamie przez Artura Marię Swinarskiego wtedy jeszcze wisiał w dużym pokoju... Tak, śmiem twierdzić, że wszystko zaczęło się od tamtej przypadkowej, wspólnie zjedzonej kolacji u nas w domu, z młodziutkim Okudźawą – szczup- łym brunetem z ogromną czupryną, z wielkimi czarnymi oczami, w których migotał ogień. Taki był wyciszony, jakby nieco skrępowany, choć sporo przecież mówił, jeszcze wię- ciej palił, cichym głosem, w którym kryła się obawa, czy ktoś nie podsłuchuje, opowiadał o swoim losie, o babce, która go wychowywała, gdy przepadli rodzice... (Wyjaśniłaś mi później, gdy wyszedł, że ojciec Bułata został rozstrzelany w fatalnym 1937 roku, matkę skazano na lata łagru, jemu zabroniono mieszkać w Moskwie; stąd owa tęsknota za Arbatem, ulicą dzieciństwa, cudownie opisaną w wierszach. Tutaj przecież spotykał sąsiadów – Aleksandra Siergiejewi- cza Puszkina, Michaiła Afanasjewicza Bułhakowa...) Mówił o wojnie, o jej stałej obecności w swoich wierszach... To był czarowny wieczór, poznałyśmy kolejnego «chłopca stam- tąd» (a następnym był Andriej Wozniesienskij, pamiętasz?), który na zawsze zajął trwałe miejsce w naszych sercach... I Bułat tam także pozostał bez względu na wszystko. Wciąż

słucham jego płyt, jego «przydymionego» głosu. I słów o jego nieistniejącym, bo całkowicie zmienionym mieście...

I wspominam czasami tamten wieczór, biedną a zarazem zabawną, z nadmiarem twarogu, kolację (bo tylko twarogu było dużo! Jak on nam smakował! I naszemu gościowi także! A ów twaróg pochodził z prywatnego sklepiku na niedalekiej Mokotowskiej (który ze względu na pewną widoczną niedomogę właścicielki nazywałyśmy U Krzywo-gęby). I słyszę ciepły głos Bułata, gdy recytuje jeden ze swoich wówczas ostatnich wierszy – czarujące wersy o *бумаж-ном солдате* [papierowym żołnierzu]. Później na polski przetłumaczył je Witek Dąbrowski, a Ty po tamtej kolacji stale je powtarzałaś. A ja po Tobie. Obie lubiłyśmy tego papierowego żołnierzyka... Ta miłość została mi do dziś... Wiesz, Bułat wrócił na odrestaurowany teraz, elegancki, ale jakiś frajerski, Arbat – stanął tam jego pomnik. Ale nie polubiłam go i myślę, że on sam siebie też w tym wciele-niu nie lubi... Stoi więc nowy spiżowy Bułat pod cieniem spiżowej bramy, a opisywane kiedyś przez niego podwórka też jakby całkiem inne – zadbane, wyasfaltowane, z jakąś superzielenią... Francja-elegancja, jak mówią dziś młodzi...

Dużo będziesz miała czytania. Rozpisałam się. Ale teraz kilka weselszych wiadomości: w stulecie śmierci ojca (o czym Ci już dawniej pisałam) uchwalono w sejmie Rok Gałczyń-skiego; wyszło kilka ważnych książek, wśród nich *Notatnik* i trzytomowe wydanie twórczości w Czytelniku z pięknymi okładkami i wyklejkami Franciszka Maśluszczaka; Rodzi-nie Gałczyńskiej przybyło kilka szkół, m.in. gimnazjum w Koninie; i tu, w Koninie, zatrzymuje się pociąg Gałczyń-ski kursujący pomiędzy Lublinem a Szczecinem (przez Warszawę); dom na Towarowej został upamiętniony przez wielki kamień przywieziony z Mazur; Irena Kwiatkow-ska grała przez kilkanaście lat Hermenegildę w spektaklu w Teatrze Polskim, a kiedy powędrowała w Twoje strony, nie ma kto mówić monologów «przedstawicielki polskiego balkonizmu». Na zakończenie coś bardzo śmiesznego. Otóż

pragnę Cię poinformować, że w obecnej polszczyźnie nie mówi się: pani marszałek, pani inżynier, pani członek, lecz członkini, marszałkini, prorokini, paleontolożka, angelo-
lożka, gastronomka, inżynierka – roku!

I co powiesz na fakt, że dzieliłaś życie z prorokiem?
Ucałowania – Kira

ps We wspomnianym Roku Gałczyńskiego w Rosji wydano bliskotysiącstronicowy wybór wierszy K.I. z wieloma doskonałymi przekładami, pod ogólną redakcją serdecznie zaprzyjaźnionego z polską poezją Andrieja Bazylewskiego (także i z jego przekładami). Pojechałam na promocję tego tomu w moskiewskim Muzeum Majakowskiego i tam podczas tego pięknego wieczoru spotkałam Aleksandra Rewicza, jednego z tłumaczy na rosyjski wierszy ojca. Podarował mi tom swoich utworów oraz przekładów z polskiej poezji. A potem, już w domu, czytałam uważnie jego wiersze i znalazłam niezwykle poemat o Tobie. Nie znasz go, choć napisany został w 1971 roku; nosi tytuł *Poemat o spóźnie-
nym pożegnaniu*. Oto jego końcowy, jakże mnie wzruszający fragment:

Aleja Róż. Błokowski *Odwet*.
Naciskam dzwonek i za moment
w drzwiach postać jawi się kobieca
o twarzy z czasów Peryklesa;
twarz godna mistrzowskiego dłuta,
smagła, lecz polska w niej wykuta
rysa – ściągnięte smutkiem wargi,
z melancholijnym cieniem skargi.
– Pani Natalia! Witam panią. –
To pan? Czekałam. Proszę dalej... –
I oto wszedłem do mieszkania.
Wchłonął mnie pokój. W nim detale:
gitara, stół, przy stole fotel,
przeszkłone półki, książek szpaler,
rzekłbyś – zwyczajne, ot przedmioty,

lecz spod sufitu, wbrew zwyczajom,
 latarnia zwisa dorożkarska
 i raptem – sztuczka czyż kuglarska? –
 w okna obłoki napływają.
 Z odległych dali napływają.
 Z odległych dali wiatr je wlecze,
 jak przypląnęły, tak odpłyną,
 cóż im do naszej doli człecznej,
 do wojen, nieszczęść – te przeminą
 jak burza albo śnieżna zamieć.
 Natalia, milcząc, spod rzęs ciemnych
 patrzy im w ślad – ocali pamięć,
 wie – by je wstrzymać, trud daremny.
 Spytała:

– Myślał Pan o Błoku? –
 – I tak. I nie... Cóż, sam nie wiem... –
 ...Tkwił pod sufitu firmamentem
 latarni dorożkarskiej akcent,
 tuż za nią przemknął sznur obłoków,
 zaś w rdzawej kratownicy okien
 ślepy zaułek, gdzie w akacjach
 deszcz nieustannie siąpi, śpiewa
 wiatr rzewny, gdzieś z odległych dali,
 w półmroku promień, co nie gaśnie...
 to wszystkośmy już wyczytali
 w wierszach poety, nie bez racji
 rzecz zgrabnie ujął w dedykacji: *Natalii*
która jest latarnią – tak właśnie –
która jest latarnią
*zaczarowanej dorożki.**

Piękny poemat, niebywale zakończony. Cieszę się, że mogłam Ci go przesłać. Niech zostanie z Tobą. Ucałowania raz jeszcze. Kira”.

* Rosyjskie wiersze nieopisane inaczej w przekładzie Krzysztofa Roznera. Wszystkie przypisy pochodzą od Autorki.

Srebrna Natalia – jak nazwał ją w swym wierszu jej mąż Konstanty Ildefons Gałczyński – już za życia była legendą. Tak jak do legendy przeszła miłość „poety z bożej łaski” – wyrażana w wierszach, których była bohaterką i adresatką. Księżniczka gruzińska, prawdziwa, nie legendarna, urodziła się i wychowała w Kaliszu, w rodzinie silnych kobiet, których pokryte patyną czasu portrety możemy zobaczyć wśród archiwalnych zdjęć prezentowanych w tej książce. I potrafiła kochać, czekać i wybaczać jak one. Wspierać, rozumieć i rozgrzeszać.

A po śmieci poety – umiała nie tylko dbać o pamięć o nim, ale też o jego spuściznę, zajmując się edycją dzieł.

Tę dbałość, uwagę i szacunek wobec dorobku rodziców przekazała swojej córce – Kirze – przez wiele lat kustoszce Muzeum K.I.G. w Praniu, autorce książek o *Zielonym Konstantym* i wyborów jego dzieł. W *Srebrnej Natalii* – w poszerzonym między innymi o wątki gruzińskie i na nowo opracowanym wydaniu pierwszej edycji – słychać ton inny niż w pozostałych książkach Kiry Gałczyńskiej: ton niezwykłego porozumienia dwóch mądrych, znających życie kobiet, matki i dojrzałej dziś córki, które łączy wielka wzajemna miłość i miłość do Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

Kira Gałczyńska pięknym, pozbawionym sentymentalizmu stylem, opisuje życie Natalii u boku i dla Konstantego, korzenie i niezwykle losy jej gruzińskich przodków, a także obraz swego ojca, który – wielokrotnie fałszowany – od lat stara się przedstawiać ze swojej perspektywy, nie tylko nie unikając, ale wręcz szczególnie dużo uwagi poświęcając tematom trudnym, obrosłym plotkami czy fałszywą legendą. Z tej książki emanuje spokój Autorki, która z perspektywy dojrzałej kobiety raz jeszcze przygląda się wydarzeniom, które pamięta z dzieciństwa i lat młodości, z opowieści mamy i babci, zna z zachowanej korespondencji. I jak zawsze szuka śladów swych bliskich, wędrując po archiwach, muzeach i... strofach wierszy.

www.marginesy.com.pl



9 788364 700040

cena 49,90 zł

PATRONAT
MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIII